

Ema McKinley Cheryl Ricker

Dotyk nieba

Przełożyła
Malwina Zaremba-Skulimowska

Wydawnictwo WAM

Tytuł oryginału

Rush of Heaven

One Woman's Miraculous Encounter with Jesus

Copyright © 2014 by Ema L. McKinley

Published by arrangement with The Zondervan Corporation L.L.C.,
a division of HarperCollins Christian Publishing, Inc.

© Wydawnictwo WAM, 2015

Opieka redakcyjna: Olaf Pietek

Redakcja: Zofia Palowska

Korekta: Dariusz Godoś

Projekt okładki: Agnieszka Kucharz-Gulis

zdjęcie na okładce: depositphotos.com

Łamanie: Barbara Bodzoń

ISBN 978-83-277-1000-0

WYDAWNICTWO WAM

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200 • faks 12 42 95 003

e-mail: wam@wydawnictwowam.pl

www.wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496

e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA

tel. 12 62 93 260, 12 62 93 446-447

faks 12 62 93 261

e.wydawnictwowam.pl

Prolog

24 grudnia 2011 r.

Wzmógł się wiatr, smagając boleśnie moją skórę. Po raz ostatni spojrzałam na gwiazdy. Górna część mojego ciała jak zwykle zwisała z wózka pod kątem dziewięćdziesięciu stopni. Sprawną dłońią chwyciłam koło wózka i odepchnęłam się zdrową stopą.

„Dasz radę, mała” – pomyślałam.

Udało mi się otworzyć szerokie drzwi werandy, jednak koła wózka zaklinowały się na progu. Stękając, podjęłam kolejną próbę.

„Moja niezależność jest tego warta” – dodawałam sobie otuchy w myślach.

Każdego wieczoru, gdy moi opiekunowie wracali do własnych domów, żeby móc bardziej przechylić się na wózku i mocniej chwycić koło, odpinałam pas biodrowy. Dzięki temu łatwiej mi było dokonywać takich akrobacji.

Jeszcze jedno szarpnięcie, aż wreszcie moje sześćdziesięcioletnie ciało wtoczyło się do kuchni, prosto w smakowite zapachy hamburgerów i pieczonej szynki. Przed wyjściem moja opiekunka przeniosła je z wolnowaru do lodówki. Cieszyłam się, że już za dziewiętnaście godzin moi synowie wpadną na przekąskę po nabożeństwie wigilijnym.

Spojrzałam na stół udekorowany serwetkami, zastawiony talerzami, kieliszkami i świecami. Wszystko wyglądało bardzo świątecznie. Każdego roku wymyślałam

inny motyw przewodni i trzymam go w tajemnicy aż do wspólnej wieczerzy, przed którą nie wpuszczam do domu nawet mojego czterdziestoletniego syna Jasona.

Przejechałam do oświetlonego salonu i zapatrzyłam się na choinkę ozdobioną mrugającymi światełkami i bombkami w kształcie prezentów.

„Te urodzinowe dekoracje są dla Ciebie, Jezu. Jesteś naszym gościem honorowym”.

Odpoczynek. Marzyłam, żeby zupełnie się w nim zanurzyć, ale za każdym razem ból wdzierał się w mój nawet najgłębszy sen. Byłam przykuta do wózka dwadzieścia cztery godziny na dobę, ale przynajmniej mogłam zamknąć oczy i zacząć marzyć.

Zapowiedziałam już synom, że w tym roku będą musieli zapracować na swoje prezenty. Trzydziestoośmioletni Jeff będzie musiał zaśpiewać dla zaprzyjaźnionych sąsiadów na końcu ulicy, Jason – zadzwonić do kilku krewnych, a mój wnuk będzie musiał rozwiązać łamigłówki. Uśmiechnęłam się na myśl o moich przebiegłych metodach. To będą święta, których nigdy nie zapomnimy.

Wzięłam głęboki oddech i ruszyłam korytarzem, centymetr po centymetrze mozolnie przesuwając wózek. Gdy wjechałam do gabinetu, Savannah powitała mnie miauknięciem.

– Ależ tu radośnie, prawda, kiciu?

Na półkach pod sufitem stały moje kolekcjonerskie lalki. Gdy dorastałam na farmie, nie dostawaliśmy zbyt wielu prezentów gwiazdkowych, ale cała rodzina zawsze zrzucała się na kupno lalki dla mnie. Te najbardziej fantastyczne dostałam od Jeffa i Jasona – och, ileż wspomnień się z nimi wiąże.

Podjechałam wózkiem do biurka i włączyłam komputer. Może i jestem twardą babką, ale dzięki temu mogę

dodać otuchy ludziom na Facebooku. Podekscytowana zjechałam kursorem do mojego ostatniego wpisu. 17 grudnia 2011:

„Oto Dziewica pocznie i porodzi Syna, któremu nadadzą imię Emmanuel, to znaczy: »Bóg z nami«” (Mt 1, 23)*. Drodzy przyjaciele, w tym pięknym bożonarodzeniowym okresie musimy pamiętać, że Bóg jest zawsze z nami, niezależnie od tego, gdzie jesteście. Niech Bóg Was błogosławi!

Cóż to za wspaniała obietnica. Emmanuel... Bóg z nami. „Panie Jezu, oby każdy czytający ten wpis znalazł nieprzemijającą nadzieję w Tobie”.

„Co powinnam teraz napisać? Powiedz mi, Panie”.

Do głowy przyszedł mi fragment Ewangelii świętego Mateusza: „U Boga wszystko jest możliwe”. To dobry cytat, ale z którego rozdziału pochodzi? Rozglądając się po pokoju, dostrzegłam Biblię leżącą na drugim biurku. Co prawda żeby jej dosięgnąć, będę musiała cofnąć wózek, ale to nic takiego – mam w tym wprawę.

Chwyciłam koło i odepchnęłam się prawą stopą, równocześnie skręcając wózek. Ale chyba zbyt słabo się odepchnęłam, bo koło zaklinowało się na bocznej ścianie biurka. Poirytowana spróbowałam jeszcze raz – aż nagle prawe koło oderwało się od podłogi...

„Nie!”.

Serce mi zamarło, gdy moje biedne ciało szybowało w powietrzu.

* O ile nie zaznaczono inaczej, wszystkie fragmenty Pisma Świętego cytowane są w przekładzie Biblii Tysiąclecia, wyd. IV. Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki.

Uderzając z hukiem o podłogę, poczułam miazdzący ból szyi, a ognista strzała przeszła mi kręgosłup.

Prawa noga przygniotła wykrzywioną stopę, a lewa ręka uwięzła pod moim ciałem. Tuż przed oczami miałam swoją wielką, zaciśniętą pięść, która leżała martwo i bezużytecznie. Ogarnął mnie strach. Nie mogłam się poruszyć. Nie mogłam wyprostować lewej nogi. Najmniejsza próba ruchu kończyła się dotkliwym bólem. Na biurku był telefon, ale nie byłam w stanie go dosięgnąć.

– Pomocy! – Krzyk nie miał sensu, bo sąsiedzi z domu obok wyjechali na święta. Powoli traciłam nadzieję. Istniała tylko jedna osoba, która mogła usłyszeć moje przemijające wołanie.

„Jezu!”

On na pewno mnie uratuje.

Savannah co chwilę przytykała do mojej twarzy swój włochaty pyszczek i wychodziła z pokoju, wyjąc. Nigdy wcześniej nie słyszałam tak zrozpaczonego kociego miauku.

„Panie Jezu, czy tak właśnie zabierzesz mnie do swojego domu?”

Próbowałam skupić się na niebie, ale ból rozszarpywał moje ciało. Wydawało mi się, że do tej pory doświadczyłam już każdego poziomego bólu. Ale się myliłam. Tak bardzo się myliłam.

„Gdzie jesteś, Jezu? Mój wspomóżycielu, mój zbawco, mój obrońco”.

Słowa grzęzły mi w gardle. Mogłam krzyczeć tylko Jego imię.

„Jezu!”

Wyobrażałam sobie, jak czuł gwoździe wbijające się w Jego ciało, przyjmując na siebie kolejne uderzenia. Wiedziałam, że słyszy moje wołania. Przez całe życie wy-

słuchiwał mnie, nawet wtedy gdy nikt inny tego nie robił. Tyle razy już mnie uratował, nigdy nie przestając kochać. Nawet teraz, w mojej najgorszej godzinie, wiedziałam, że mnie nie zawiedzie.

Miałam wrażenie, że zegar na biurku szydzi sobie ze mnie. Myślałam o moich najbliższych. Kto mnie znajdzie? Kto zadzwoni po pogotowie?

Godziny wlokły się niemiłosiernie, a cierpienie rozrywało mnie na kawałki. Uwięziona we własnym ciele mogłam tylko bezustannie krzyczeć Jego imię, nie zważając na obolałe, zachrypnięte gardło.

„Jezu!”

Minęło osiem i pół godziny, a ja byłam wciąż w pełni przytomna.

„Czy tak właśnie wygląda śmierć?”

Nagle, bez ostrzeżenia, coś zaczęło się zmieniać. Nieodstrzegalnie atmosfera zaczęła się przeobrażać.

Nie wiadomo skąd dobiegł mnie odgłos – potężny i dźwięczny, huczący i narastający niczym wiatr. Serce zaczęło mi gwałtownie bić.

Równocześnie odległy i bliski ten dźwięk wypełnił cały dom, zbliżając się do mnie...

Czułam czyjąś przejmującą obecność.

„Co u licha?”

Wstrzymałam oddech...

Wypadek

Osiemnaście i pół roku wcześniej

10 kwietnia 1993 r.

Nosiłam do pracy pistolet na wodę. Nic wielkiego, zwykły pistolecik, który chowałam w kieszeni spodni roboczych koloru khaki, żeby rozruszać trochę towarzystwo. Czasami celowałam w kolegów z pracy po drugiej stronie półek sklepowych. Kiedy indziej strzelałam ze szczytu drabiny w moim dziale „Zdrowie i uroda”, a potem zbiegałam szybko na dół i udawałam, że jestem całkowicie pochłonięta ustawianiem produktów.

Pewnego razu klientka wpatrywała się w sufit, sądząc, że zaczął przeciekać. Z trudem powstrzymałam się od śmiechu.

Przydałoby mi się teraz trochę takiej niewinnej zabawy, żeby rozładować atmosferę. Ostatnia sobota przed Wielkanocą jest zawsze dla nas stresująca.

– Wciąż chcesz, żeby cię podwieźć? – Lana przeszła obok mnie, machając przyjaźnie.

– Oczywiście – odparłam. – Spotkajmy się przy głównym wyjściu po zamknięciu sklepu.

Zazwyczaj przyjeżdżał po mnie mój mąż, Eddie, ale dzisiaj wieczorem miał przywieźć Jeffa z college’u. Nie widziałam naszego syna od Bożego Narodzenia, więc na samą myśl o jego przyjeździe serce zaczęło mi bić szyb-

ciej. Znając siebie, wiedziałam, że nie będę mogła usiedzieć w miejscu, dopóki nie dotrą do domu po północy.

– Przepraszam... proszę pani?

Odwróciłam się i dostrzegłam tę samą niewysoką klientkę, której pomogłam dzień wcześniej. Wciąż miałam przed oczami jej urocze córeczki prezentujące mi z dumą swoje nowe wielkanocne sukienki z falbankami.

– Przyszłam, żeby pani podziękować – odezwała się niepewnym głosem. – Bardzo nam pani pomogła przy wyborze sukienek. Dlatego przyniosłam kupon upominkowy do cukierni Baker's Square. Mam nadzieję, że lubi pani słodkości.

– Nie musiała pani tego robić – roześmiałam się. – Pomaganie pani maluszkom było czystą przyjemnością. Ale dziękuję bardzo, z chęcią wybiorę się na ciasto dyniowe.

Gdy wkładałam prezent do kieszeni, oczy zaszyły mi łzami. „Dziękuję, Jezu. Ty zawsze wiesz, jak mi poprawić humor”. A teraz było mi to szczególnie potrzebne. Klienci robili przedświąteczne zakupy w ostatniej chwili, zmieniając często zdanie i odkładając produkty w najdziwniejsze miejsca. Towary znikwały z półek niczym świeże bułeczki, a w powietrzu brzęczały pytania: „Gdzie są koszyki? Czekoladki? Brytfanki?”.

Nagle pojawił się przede mną mój przełożony, Rick.

– Leci do nas samolot.

Każdy z nas wiedział, co to oznacza – przylatują do nas grube ryby z siedziby głównej Garrettsa, żeby w poniedziałek przeprowadzić inspekcję.

Chwyciłam w biegu kartkę i ołówek i przebiegłam cały mój dział, zapisując, jakie produkty muszę donieść z magazynu. Każda półka musi być pełna, a wszystkie rzeczy na regałach perfekcyjnie ustawione.

Wpadłam w szal pracy i zanim wybiła dziesiąta, zdążyłam wyładować z wózka wszystkie pudełka kosmetyków w płynie. Nie podobało mi się, że muszę je zostawić na środku podłogi, ale za chwilę miałam wrócić. Chciałam tylko donieść produkty papiernicze z drugiego magazynu, żeby ułożyć na półkach wszystko naraz.

Gdy pchnęłam podwójne drzwi do magazynu, uderzyła we mnie fala ciepła. Wydobywała się ona ze starego grzejnika umieszczonego nad górnym regałem, z którego miałam ściągnąć potrzebne mi produkty. Wchodząc po stopniach drabiny, czułam coraz większy żar. Po dotarciu na samą górę jęknęłam. Ktoś ustawił pudła tak wysoko, że niemal dotykały sufitu! Co u licha? Czyżbyśmy dostali wyjątkowo dużą dostawę i magazynier nie wiedział, jak ją upchnąć? No nic, ja wiedziałam, co mam zrobić – wspiąć się po pudłach i wyciągnąć towar.

Wdrapując się na pierwszy poziom pudełek, w myślach uzupełniałam opis swojego stanowiska: „Musi umieć wspinać się jak małpa” – bo tak właśnie za każdym razem się czuliśmy. Pod naciskiem mojego ciężaru kartony chwiały się i przesuwwały.

„Idź dalej – powtarzałam sobie. – Już niedługo będziesz w domu, będziesz witać Jeffa i słuchać jego fascynujących historii o życiu w college’u”.

Szkoda, że mój drugi syn, Jason, nie będzie mógł do nas dołączyć. Niestety musiał zostać w Karolinie Południowej, gdzie służy w Amerykańskich Siłach Powietrznych, latając myśliwcami F-16. Ale przynajmniej niedługo wróci do domu na swój ślub.

Otarłam pot z czoła. Po wspięciu się na trzy poziomy pudełek wciąż nie mogłam znaleźć kodów kreskowych odpowiadających produktom na mojej liście. Gdzież one są? Gdzie są te nieszczęsne chusteczki?

Pomyślałam, że należałoby zejść na ziemię i poszukać magazyniera, ale nie miało to większego sensu, skoro dzisiaj wszyscy są tak strasznie zajęci. Poza tym byłam już w połowie drogi. Czasami trzeba po prostu zagryźć zęby i robić to, co jest do zrobienia.

Gdy wgramoliłam się na dwa kolejne poziomy, poczułam, że powietrze robi się tropikalnie gorące.

– Kto potrzebuje aż takiego ciepła? – wymamrotałam.

W końcu dotarłam na szczyt, z trudem łapiąc powietrze. Chusteczki musiały tu być. Szybko wezmę to, czego potrzebuję, zejść na dół, ustawię wszystko na regałach i pojedę z Laną do domu.

Ale gdzie jest właściwy kod kreskowy?

Rozłożyłam ręce na boki, żeby utrzymać równowagę, i ruszyłam w kierunku kartonów przy ścianie. „Nie patrz w dół” – ostrzegłam się w myślach. Byłam co najmniej siedem metrów nad ziemią. Chwiejnie chwyciłam się metalowej belki, żeby nie spaść. Spod kartonów wystawały grube deski, zostawiając niewielką pustą przestrzeń między mną a ścianą.

I nagle go dostrzegłam. Wielki grzejnik w kształcie beczki zwisający pod sufitem! Nigdy nie widziałam go z tak bliska – mógł być nie więcej niż metr od mojej twarzy.

Ale zanim zdążyłam pomyśleć, grzejnik wybuchnął z wielkim hukiem. Przed oczami tańczyły mi jasne płomienie. Nieznośne gorąco uderzyło w moje ciało.

A potem wszystko zamieniło się w czarną pustkę.

Ból

12 kwietnia 1993 r.

Otworzyłam oczy i natychmiast miałam ochotę je zamknąć. Leżałam w słabo oświetlonym pomieszczeniu, a głowa bolała mnie tak, jak gdyby ktoś uderzył w nią młotkiem. Miałam wrażenie, że moja stopa i reszta nogi zostały zmiażdżone, rozerwane na kawałki i złożone z powrotem. Spod szpitalnej koszulki wywijały się przewody łączące moje ciało z monitorem EKG, a z posiniaczonej, spuchniętej dłoni wystawał wenflon połączony z kroplówką.

Kątem oka dostrzegłam kogoś obok mnie. Jeff. Serce mi zamarło.

– Kochanie...

– Mamo! – Mój syn natychmiast skoczył na równe nogi. – Ocknęłaś się!

Przetarłam dłonią czoło i natrafiłam na guza wielkości gęsiego jaja.

– Co u licha?

– Nie ruszaj się. – Jeff potrząsnął głową. – Muszę wezwać lekarza. Obiecałem, że dam im znać, jak tylko się obudzisz. Tak się wszyscy martwiliśmy.

Gdy wyszedł z pokoju, ostrożnie zerknęłam pod kołdrę. O rany! Moja stopa spuchła, zsiniała i się wykrzywiła. Noga była poprzecinana jasnymi pasami, jak gdyby od kolana do połowy uda chwyciły mnie jakieś szpony. Ból mówił mi jednak, że zdarzyło się coś znacznie poważniejszego.

Zamrugałam, skupiając wzrok na lekarzu, który nagle pojawił się obok mnie.

– Dzień dobry, Emo. Nazywam się Howard White.

– Dzień dobry – odezwałam się zachrypniętym głosem, a lekarz odpowiedział mi uśmiechem.

– Dobrze, że się obudziłaś. Długo byłaś nieprzytomna.

– Naprawdę? Jak długo?

– Straciła pani przytomność w sobotę wieczorem, a dzisiaj jest poniedziałek – wyjaśniła pielęgniarka, poprawiając mi pościel.

Nie mogłam w to uwierzyć. Wielkanoc nadeszła i minęła, a ja ją przegapiłam? Jakie to smutne. Życie toczyło się dalej, podczas gdy ja przebywałam w krainie zapomnienia.

– Pani głos dobiega z bardzo daleka – zauważyłam. – Ledwo go słyszę.

– Tak, to typowe dla wstrząśnienia mózgu. – Pielęgniarka kiwnęła głową. – Ale proszę się nie martwić, jest pani w dobrych rękach. Niedługo będzie pani jak nowa.

– Emo – uśmiechnął się szeroko doktor, jak gdyby zdradzając jakiś sekret – cały czas czuwałem nad tobą. Nawet gdy o tym nie wiedziałaś.

Jego głos brzmiał kojąco, niemal jak kogoś z rodziny. Takie słowa mogłby wypowiedzieć Jezus: „Emo, zawsze jestem blisko ciebie”.

Lekarz poświecił mi latarką w oczy, żeby sprawdzić reakcję źrenic.

– Czy pamiętasz, co się wydarzyło?

Nagle przeszył mnie ból, a twarz wykrzywiła się w grymasie.

– Już dobrze. – Pielęgniarka poklepała mnie po ręce. – Nie ma pośpiechu. Możemy poczekać.

Utkwiłam wzrok w jakimś punkcie na suficie, próbując zebrać myśli.

– Byłam w pracy. Wspinałam się po drabinie... Och, nie wiem. Nie pamiętam. – Wciągnęłam gwałtownie powietrze i położyłam dłoń na sercu.

– Proszę się nie martwić – pocieszyła mnie siostra. – Może nam pani wszystko opowiedzieć później. Podłączyliśmy panią do pompy morfinowej, więc proszę śmiało wcisnąć guzik, jeżeli będzie pani potrzebowała kolejnej dawki.

Z zasady nie znoszę lekarstw, ale w tamtej chwili myślałam tylko o tym, kiedy będę mogła znowu przycisnąć guzik.

W ciągu następnych kilku godzin lekarze wchodzili i wychodzili, poddając mnie tysiącom badań. Odetchnęłam z ulgą, gdy wreszcie zostawili mnie w spokoju. W końcu mogłam być sama z Jeffem. Trzymając się za ręce, odmówiliśmy wspólnie kilka cichych słów modlitwy. Marzyłam tylko o tym, aby z jego oczu zniknęło to bolesne spojrzenie.

– Tak mi przykro. – Moje słowa zabrzmiały bezsilnie. Żałośnie. Jak gdyby ktoś wypuścił ze mnie całą parę, równocześnie zrzucając na mnie tonę kamieni. Tak się cieszyliśmy na wspólne ferie wiosenne, a co z tego wyszło? Jak ja mu to wynagrodzę?

– Kocham cię, mamó. – Pocałował mnie w policzek i popatrzył z taką czułością, że aż oczy zaszyły mi łzami. – Gdzie cię najbardziej boli?

– Najbardziej dokucza mi głowa i dłoń, ale stopa i cała noga też dają się we znaki.

Jeff wiedział, że mam dużą tolerancję na ból. Gdy na świat miał przyjść jego starszy brat, Jason, nie chciałam przyjąć żadnych środków przeciwbólowych, chociaż

poród trwał bite trzy dni. Nikogo nie powinno dziwić moje do nich uprzedzenie, skoro w pierwszym trymestrze mój odchodzący na emeryturę doktor przepisał mi tabletki zapobiegające krwawieniu, a gdy nie zadziałały, ostrzegł, że mogę stracić dziecko. Przeżrana pobiegłam do innego lekarza, żeby nie opierać się na jednej opinii. Na widok tych tabletek ginekolog poczerwieniał jak burak.

– Nie chce ich pani brać – zdecydował, wyrzucając fiolkę do kosza.

– Coś jest z nimi nie tak? – Serce biło mi jak oszalałe.

– Ale nie zaszkodzą dziecku, prawda?

– Cóż – odchrząknął – te tabletki mają podobny skład jak lekarstwo, które powoduje wady wrodzone.

Kolana ugięły się pode mną, a ja w myślach błagałam Boga: „Proszę, spraw, aby to dziecko urodziło się zdrowe”. Powtarzałam tę modlitwę codziennie aż do wyznaczonego dnia porodu, a nawet jeszcze dłużej. Poród rozpoczął się aż trzy i pół tygodnia po terminie! Cóż za okrutny żart. Kiedy jednak wreszcie nadszedł ten wielki dzień, pierwszą rzeczą, jaką zrobiłam, było upewnienie się, że mój słodki bobas ma wszystkie paluszki u rąk i nóg. „Dzięki Ci, Jezu!” – westchnęłam z wdzięcznością.

Podobnie teraz, wciskając jedną ręką guzik z morfiną, a drugą ściskając dłoń Jeffa, szepnęłam: „Dzięki Ci, Jezu, za moich wspaniałych synów”.

Jeff uśmiechnął się, a ja opadłam z powrotem na poduszkę. Gdzie podziały się te wszystkie lata? Pamiętam, jak byłam w jego wieku. Miałam dziewiętnaście lat, właśnie skończyłam szkołę i marzyłam o tym, aby zawojować świat i wyjść za mąż.

Nagle przeszedł mnie zimny dreszcz. Eddie. Gdzie on jest? Chyba nie zostawił Jeffa samego w tej sytuacji?

Przecież biedny chłopak nie wiedział nawet, czy i kiedy się obudzę.

– Kochanie, czy był tu twój tato?

– Tak – odpowiedział nerwowo. – Wpadł tu na chwilę, a potem wrócił do domu. Wiesz, jaki jest tato. Szybko się męczy.

Zacisnęłam zęby, nie wiedząc, co powiedzieć. Poza tym byłam zbyt zmęczona, żeby się tym przejmować. Ból napierał na mnie z coraz większą furją, ale mój kochany syn nie opuścił mnie ani na chwilę.



Następnego dnia do pokoju zajrzała pielęgniarka.

– Jest pani gotowa na wizytę? Ma pani gości z Garretsa.

Przeczesałam dłonią włosy.

– Tak, oczywiście, proszę ich wpuścić. – Poklepałam dłoń Jeffa. – Kochanie, może idź trochę odpocząć.

Jeff uściśkał mnie i ustąpił miejsca Ricie i Peterowi.

– Jak to dobrze, że czujesz się już lepiej. – Rita była nienaturalnie przygaszona i spięta. – Przyniosłam ci koszyk z wielkanocnymi przysmakami.

– Dziękuję. Wesołych świąt! – Uśmiechnęłam się gorzko w myślach. Cóż było w nich wesołego?

Dopiero po kilku minutach rozmowy przyszła mi do głowy myśl:

– Byliście tam. Możecie mi powiedzieć, co się tak naprawdę stało.

Moi znajomi niepewnie wymienili spojrzenia, aż w końcu Peter wziął głęboki oddech i powiedział:

– Kyle cię znalazł. Wszyscy mieliśmy już wyjść z pracy, ale w ostatniej chwili Kyle zauważył na hali niepotrzebny

wieszak na ubrania i postanowił schować go do magazynu. Wtedy cię dostrzegł.

– Co konkretnie zobaczył? – Nie spuszczałam z niego wzroku.

Peter zawahał się, zaciskając szczęki.

– Zobaczył twoją dłoń... zwisającą spod sufitu.

– Yyy! – Wzdrygnęłam się. – To brzmi jak scena z horroru. Co jeszcze widział? Co się potem stało?

– Potem wbiegł na drabinę. – Peter przełknął głośno ślinę. – Na pewno jesteś na to gotowa?

– Całkowicie gotowa.

– W porządku... I zobaczył, że wiesz do góry nogami, zaczepiona tylko na stopie.

W powietrzu czuć było napięcie.

– I co dalej? – Nie odpuszczałam. Musiałam poznać całą prawdę.

– Miałaś wykręconą nogę, a stopa zaklinowała się między deskami a pudłami. Musiałaś wisieć w takiej pozycji przez ten cały czas.

Co to znaczy „przez ten cały czas”? Coś mi tu nie pasuje. Spojrzałam na Ritę.

– Kiedy Kyle mnie znalazł? O której godzinie?

– Po północy – odpowiedziała, nabierając powietrza.

– Około dwunastej czterdzieści pięć.

Nie mogłam w to uwierzyć... Za piętnaście pierwsza? Przecież wdrapałam się na górne półki magazynu chwilę po dziesiątej. To mogło oznaczać tylko jedno: podczas gdy wszyscy przygotowywali się do inspekcji, ja wisiałam do góry nogami... przez dwie i pół godziny. Gdy to sobie uświadomiłam, zaschło mi w gardle.

– Czyli przez ten cały czas wszyscy byli w sklepie?

– Nie mogliśmy cię znaleźć. – Poruszył się nerwowo Peter. – Myśleliśmy, że już poszłaś, że wyszłaś wcześniej do domu.

Wysłałam wcześniej do domu? Te słowa zaboląły mnie jak policzek. Byliśmy drużyną. Pomagaliśmy sobie nawzajem podczas zamykania sklepu i stosowaliśmy zasadę, że nikt nie wychodzi, dopóki wszyscy nie będą gotowi. To była nasza żelazna reguła. Jak oni mogli pomyśleć, że wysłałam bez odbicia swojej karty pracy? Zawsze tego pilnowałam. A co z Laną? Przecież byłyśmy umówione, że odwiezie mnie do domu. A towar na podłodze? Wszyscy wiedzieli, że jestem perfekcjonistką i nigdy nie zostawiłabym po sobie takiego bałaganu. To nie miało sensu. W tej chwili byłam jednak zbyt obolała, żeby się nad tym zastanawiać. Nie miałam na to siły.

– Dziękuję jeszcze raz za koszyk wielkanocny – powiedziałam. – Myślę, że powinnam teraz odpocząć.

Ból coraz bardziej się nasilał, więc zapytałam pielęgniarkę, czy pompa morfinowa działa.

– Wydaje mi się, że działa bez zarzutu – odparła.

Lekarze i pielęgniarki przewijali się przez mój pokój, badając mnie na wszystkie sposoby i nieustannie zadając pytania.

– Czuję się, jakby moja głowa zamieniła się w ogromny bęben – poskarżyłam się.

– Nie dziwię się – odpowiedziała ze współczuciem pielęgniarka. – To cud, że pani w ogóle żyje.



W środę zjawiła się nasza kierowniczką działu kadr Shanda z dwoma grubymi rybami z siedziby głównej.

– Jak się czujesz? – spytała.

Moment się zastanawiałam.

– Jak kawałek rozbitego szkła.

Spis treści

Prolog	7
Wypadek	13
Ból	17
Diagnoza	27
Ślub	32
Zbroja	35
Oparzenia	38
Bez czucia	42
Częściowe uzdrowienie	51
Powrót	57
Prawo i niesprawiedliwość	62
Przyjaciele i wrogowie	65
Gorące krzesło	77
Wysilek ponad miarę	87
Zagrożenie życia	94
Schody	97
Nowy początek	102
Powrót do otchłani	105
Zimny prysznic	109
Czara goryczy	113
Dieta	117
Opiekunki	124
Wykrzywienie	130
Przebaczenie	135
Poczucie celu	141
Walka	147
Dom	151
Narastający ból	157
Dwukilogramowy cud	164
Atak serca	169

Czarne chmury	175
Dziecięcy ambasador	181
Nowotwór	188
Brak tlenu	194
Rany	200
Brak opcji	212
Nieuleczalne	217
Śmiertelna dawka	226
Krok naprzód	233
Przygotowania	242
Cud	246
Wigilia	256
Boże Narodzenie	264
Niespodzianka!	270
Pomoc innym	279
Terapia uzależnień	287
Serce Emy	294
Epilog	296
Dokumentacja medyczna i prawnicza	299
Chronologia	327